

Azja Południowo Wschodnia 2008

Dzień 1. (15. XI. 2008. Sobota) *Bangkok*

O 14:35 czasu lokalnego wylądowaliśmy (z Ewą) w Bangkoku. Na dworze temperatura 34 stopni Celsjusza. Sprawnie przeszliśmy przez formalności celne (wizy wyrobiliśmy jeszcze w Polsce), a następnie odebraliśmy nasze plecaki, które już na nas czekały. Wymieniliśmy trochę pieniędzy (kurs 1USD = 34,760 THB) – podobno na lotniskach najlepsze kursy w całej Azji Południowo Wschodniej – jeśli chodzi o Tajlandię, to nam się to potwierdziło. Potem poszliśmy kupić bilety na autobus AE2 (150 THB/1os.), który jeździ na Khao San Road z lotniska. Okazało się jednak, że tego dnia odbywały się ceremonie związane ze śmiercią żony króla i część ulic w pobliżu Khao San była pozamykana. W związku z czym musieliśmy ok. 20 minut iść pieszo na Khao San. Tajowie jednak chętnie nam wskazywali drogę.

Na nocleg wybraliśmy Budget Guesthouse (300 THB/2 os. / wiatrak; wspólna łazienka). Po rozpakowaniu się i przebraniu wyszliśmy na nocny spacer. Było mnóstwo ludzi, a wśród nich bardzo dużo turystów! Ulica Khao San to jedno wielkie targowisko z restauracjami. Wszędzie pełno motorów i tuk-tuków, które przemykały między ludźmi. Po przeczytaniu kilku relacji spodziewaliśmy się jednak większego chaosu na ulicach. No cóż, każdy ma pewnie względne odczucia.

Po niedługim spacerze wróciliśmy do pokoju, aby spożyć piwo LEO i odpocząć po długim locie oraz przed jutrzejszą jazdą do Siem Riep przez Poipet!

Dzień 2. (16. XI. 2008. Niedziela) *Bangkok – Siem Riep*

Tego dnia wstaliśmy o 4:30. Tej nocy słabo spaliśmy, chociaż byliśmy zmęczeni. Często się budziliśmy i potem było nam ciężko zasnąć. To wszystko pewnie dlatego, że w pokoju był parnik, ale może i też nasze zegary biologiczne jeszcze się nie przestawiły na nowe warunki.

Trochę długo się wybieraliśmy i dlatego na dworzec Morchit dojechalśmy dopiero na 6:10 (metered-taxi z Khao San za 97 THB). Oczywiście autobus państwowy 2 klasy zwił nam 10 minut temu. Pozostały nam więc prywatne autobusy 1 klasy, które średnio jeżdżą co 30 minut do Aranya Prathet (więcej szczegółów na <http://talesofasia.com>).

Za 221 THB / 1os. (woda gratis) dojechalśmy klimatyzowanym autobusem w 4 godziny do Aranya Prathet. Tutaj spodziewaliśmy się małego piekielka po nacytaniu się na temat przekraczania granicy w Poipet (warto poczytać - <http://talesofasia.com>), tym bardziej, że był to weekend. Jednak było naprawdę prosto.



Kiedy wysiedliśmy z autobusu pojawiło się kilku naganiaczy na tuk-tuki, ale nie byli nachalni. Spieszyli się tylko czemuś, jak wrzucali nasze plecaki na wybranych przez nas tuk-tuka. Za podwózkę do granicy facet chciał 80 THB, ale powiedziałem, że 60 THB i od razu się zgodził, więc pewnie można taniej.

Zanim dojechalśmy do granicy, przerobiliśmy scenariusz opisany na <http://talesofasia.com>, tzn. zabrano nas pod konsulnat Kambodży (nie pytając nas wcześniej

czy chcemy) z nadzieją, że wyrobimy tam wizy. My jednak wyrobiliśmy je w Polsce (w Warszawie jest już ambasada Kambodży). Następnie kawałeczek dalej tuk-tukarz zatrzymał się przy swoich ziomkach, którzy wykazywali chęć pomocy przy wypełnianiu (odpłatnie) wniosków imigracyjnych. Znając już te historie miło, ale stanowczo odmawialiśmy i nie było z tym żadnych problemów.

Dojechaliśmy w końcu do granicy, gdzie bez najmniejszych problemów i „dodatkowych opłat” dostaliśmy się do Kambodży. Tutaj spodziewaliśmy się najgorszego. Tymczasem był spokój – nikt nas nie zaczepiał, naganiaczy brak, żebraków i wścibskich dzieci również brak (no ok., widzieliśmy ze 2 kalekich żebraków, ale nie zaczepiali nas).

Po chwilowym rozpoznaniu terenu i nie widząc innych turystów wynegocjowaliśmy taksówkę za 40 USD (Toyota Camry) do Siem Riep.

Droga z Poipet do Siem Riep w sporej części okazała się być pokryta szerokim asfaltem! Mosty jednak dopiero były budowane. W każdym przypadku były objazdy obok, po usypanej ziemi. Tam, gdzie nie było asfaltu, strasznie trzęsło i kurzyło! Zwłaszcza kurzyło! Podziwialiśmy tamtejszych motocyklistów i rowerzystów za jazdę w tym niesamowitym kurzu! Chociaż w tych odcinkach droga była bardzo wyboista, to my średnio jechaliśmy 80-90 km/h. Muszę przyznać, że ta podróż nie była bardzo męcząca. Samochód miał klimę i miękkie, podwyższone podwozie.

Widoki były fajne, ale w sumie monotonne. Mijaliśmy mnóstwo pól ryżowych. Były właśnie żniwa. Ludzie zbierali ryż z pól i suszyli go na foliach rozkładając na asfalcie.

Po ok. 3 godzinach dojechaliśmy do Siem Riep. W Siem Riep chwilę pokropiło. Taksówkarz chciał nas podwieźć pod wybrany przez nas Guesthouse, ale pomimo starań nie znalazł go, więc wysiedliśmy i sami go znaleźliśmy – Ivy Guesthouse 2 (7 USD / 2os. / z łazienką i wiatrakiem).



Po prysznicu poszliśmy w końcu wypróbować nasze żołądki do polecanej przez Lonely Planet Khmer Kitchen Restaurant. Nie było to co prawda jedzenie uliczne, ale za to bardzo smaczne (3-5 USD/danie)! Obiad zapiliśmy Tiger Beer (0,55L – 2,5\$; 0,33L – 1,5\$ w restauracji).

Po wieczornym spacerze po miasteczku udaliśmy się do naszego guesthouse'u odpocząć. Na jutrzejszy dzień umówiliśmy się na 5:00 z tuk-tukarzem na całodzienną wycieczkę po Angkorze – od świtu do zmierzchu za 12 USD.

Dzień 3. (17. XI. 2008. Poniedziałek) Siem Riep, Angkor

O 5:00 wyruszyliśmy tuk-tukiem do Angkor Wat na wschód słońca. Świetna atmosfera i przyjemny chłodek z rana, tym bardziej, że tej nocy padał duży deszcz – tak głośniego jeszcze nie słyszałem!

Bilet wstępu do Angkor na 1 dzień kosztował 20 USD. Na bilecie jest zdjęcie właściciela (biletu), które jest robione przy kasach (za darmo). Bilet sprawdzany jest potem przy każdym wejściu do ruin. Dzięki temu biletowi można też korzystać za darmo z toalet.

Na oglądanie wschodu słońca przy Angkor Wat przybyło dużo ludzi. Jeśli przyjechało się zbyt późno, to ciężko było sobie znaleźć dobrą miejscówkę na zdjęcia.

Angkor Wat oraz pozostałe kompleksy zrobiły na nas bardzo duże wrażenie. Spędziliśmy tam cały dzień, od świtu do zmierzchu. Tej atrakcji w Kambodży pominąć raczej nie można. Jednak jeden dzień na to, żeby zobaczyć wszystko, to stanowczo za mało! Cały kompleks jest bardzo duży i rozlegle porozrzucany po dżungli. Tego dnia na dworze było bardzo gorąco i wilgotno, więc już po 13:00 mieliśmy dość zwiedzania. Później już więcej

odpoczywaliśmy niż zwiedzaliśmy. W ten sposób doczekaliśmy się zachodu nad Angkor Wat. Zachód był średnio udany, bo słońce co chwilę chowało się za chmury.

W Angkorze jest sporo miejsc, gdzie można zjeść lub kupić wodę. Obiad można zjeść od 3 USD, fanta 0,33 l. – 2 USD, woda 1,5 l. – 1 USD (2 razy drożej niż normalnie).

Po powrocie z Angkoru od razu wskoczyliśmy pod prysznic. Potem odważyliśmy się pierwszy raz zjeść obiad na ulicy (1 USD) – nie mieliśmy po tym żadnych problemów żołądkowych, zrobiliśmy zakupy w markecie i niedługo potem poszliśmy spać, by jutro na 7:10 wstać na autobus do Phnom Penh (firma Neak Krorhorm -> 6 USD / 1 os.; 8 USD – VIP).



Autobusy Siem Riep - Phnom Penh (firma Neak Krorhorm):

6 USD:	6:30, 7:00, 7:30, 8:00, 9:00
8 USD (VIP):	8:00, 12:30

Dzień 4. (18. XI. 2008. Wtorek) Siem Riep – Phnom Penh

Dzisiaj zgodnie z umową, czekaliśmy od 7:00 pod hotelikiem na bus, który miał nas podrzucić do autobusu do Phnom Penh. Czekaliśmy i czekaliśmy. Minęła już 7:30, a o 7:15 miał ktoś już po nas przyjechać. Jakiś tuk-tukarz próbował nas namówić na podwiezienie nas za 2\$, ale odmówiliśmy i z coraz mniejszą nadzieją czekaliśmy na nasz bus. W końcu ok. 7:45 podjechał busik, który nas zabrał na dworzec. W autobusie dano nam po małej butelce wody. Po 2 godzinach jazdy mieliśmy 30 minut przerwy na posiłek, a potem już jechaliśmy bez przerw do samej stolicy (w sumie 6 godzin).

Kiedy dojechaliśmy na miejsce, zebrał się tłumek naganiaczy. Jedni oferowali pokoje, hotele, inni chcieli podwieźć tuk-tukiem. Skorzystaliśmy z oferty jednego tuk-tukarza i pojechaliśmy do Last Home (guest house, 6 USD / 2 os.) za stargowany 1 USD (cena wywoławcza 2,5 \$).



Po zakwaterowaniu poszliśmy zwiedzić jeszcze pałac królewski i srebrną pagodę (to wszystko było blisko naszego guest house'u). Bilet wstępu kosztował 6,25 USD od osoby. W cenę biletu wliczona była już możliwość filmowania i robienia zdjęć. Trzeba pamiętać, żeby móc wejść nie można mieć odsłoniętych ramion i krótkich spodenek (powyżej kolan).

Cały kompleks jest bardzo ciekawy, a skąpany w popołudniowym słońcu wygląda bajecznie. Podłoga ze srebrnych płytek w Srebrnej Pagodzie nie zrobiła na nas większego wrażenia. Płytki są już stare i zaniedbane.

Chociaż zwiedzać można do 17:00, to ok. 15 minut przed 17:00 zaczęto już zamykać wszystko. Po zwiedzaniu udaliśmy się kupić bilet autobusowy do Kratie za 7 \$, do którego mieliśmy jechać pojutrze, a potem na kolację do ulicznego barku – ceny:

makaron z kiełkami i warzywami	2000 KHR
makaron z kiełkami, warzywami i mięsem	4000 KHR
generalnie główne danie z mięsem to średnio	4000 KHR
piwo	3000 – 5000 KHR
fanta, itp.	2500 KHR

Potem skorzystaliśmy z kafejki internetowej (1000 KHR / 15 min.), których tutaj nie brakuje, pospacerowaliśmy chwilę i wróciliśmy do naszego guest house'u.

Dzień 5. (19. XI. 2008. Środa) Phnom Penh

Dzisiaj wstaliśmy o 7:00. Po śniadaniu dogadaliśmy się z jednym tuk-tukarzem na ulicy, że obwiezie nas dzisiaj po trasie: Pola Śmierci – rosyjski bazar – muzeum Tuol Sleng za 13 USD.

Jazda ulicami Phnom Penh na pierwszy rzut oka wydaje się często niebezpieczna i chaotyczna, jednak po dłuższej obserwacji okazuje się, że ludzie nie jeżdżą szybko, a na skrzyżowaniach powoli przeciskają się między sobą. Pomimo tego i tak notuje się wypadki na ulicach.

Pola Śmierci (wstęp 2 USD / 1os.) to mały obszar. W sumie to poza wieżą z czaszkami i masowymi grobami nic nie ma. W miejscach, przez które kiedyś więźniowie przechodzili od przywiezienia do egzekucji, stoją obecnie tylko tablice informacyjne. Obok wieży czaszek stoi drzewo, o które zabijano małe dzieci – trzymając je za nogi uderzano w nie głowami! Działy się tutaj okrutne rzeczy. Po jakimś czasie, na dobę było wykonywanych tyle egzekucji, że nie dało się zwiększyć ich liczby!

Po Polach Śmierci udaliśmy się na rosyjski targ w Phnom Penh. Bazar nie jest wielki. Sprzedaje się tam wiele różnych rzeczy – ozdóbki, figurki, pamiątki, naczynia, zegarki, filmy, muzykę, narzędzia, części motorowe, jedzenie, itd. Część z jedzeniem odstraszała nas najbardziej, ze względu na smród, jaki tam panował!

Następnie udaliśmy się do muzeum Tuol Sleng (wstęp 2\$ / 1 os.). Tam rozstaliśmy się z naszym kierowcą, umawiając się z nim na 16:00 (chciał 1\$ na jedzenie). Poszliśmy coś zjeść do barku ulicznego (ryż, skrzydełko chudego kurczaka, trochę warzyw, rosółek i fanta za 2 \$). Do fanty dostaliśmy lód, którego to obawialiśmy się spożywać, ale ostatecznie skorzystaliśmy z niego (nie mieliśmy żadnych rewolucji żołądkowych po nim).

Muzeum Ludobójstwa Tuol Sleng jest moim zdaniem dużo bardziej warte obejrzenia niż Pola Śmierci. Tuol Sleng było kiedyś szkołą, którą Pol Pot przerobił na „oddział bezpieczeństwa”, w którym więziono, torturowano i często zabijano ludzi! Najczęściej jednak egzekucje odbywały się na Polach Śmierci. W Tuol Sleng działy się przerażające rzeczy! Ludzie byli przesłuchiwani i



okrutnie torturowani po to, aby się przyznali do rzeczy, których nie zrobili. Przyznanie się do rzekomej winy musiało być nagrane, potem byli skazywani na egzekucję. Wielu ludzi nie bało się tutaj umrzeć, bało się jedynie okrutnych tortur i ogromnego bólu z nimi związanego.

Wizyta w Tuol Sleng składnia do refleksji. O godzinie 10:00 i 15:00 wyświetlany był godzinny film dokumentalny.

O 16:00 nasz tuk-tukarz czekał na nas pod muzeum. Odwiózł nas do naszego guest house'u, gdzie chwilę odpoczęliśmy. Potem poszliśmy pospacerować po mieście.

Dzień 6. (20. XI. 2008. Czwartek) Phnom Penh - Kratie

O 7:15 mieliśmy autobus do Kratie, więc już od 6:35 czekaliśmy przed naszym guest house'em na kogoś, kto miał nas podrzucić na autobus - wg umowy z biurem, w którym kupiliśmy bilet do Kratie (mieli po nas przyjechać o 6:45).

Niestety, minęła 7:10 i nadal nikt po nas nie przyjechał! Zadzwoiłem z naszego guest house'u do firmy, w której kupiliśmy bilety (Phnom Penh Sorya Transport), ale odniosłem wrażenie, że w ogóle się nie dogadałem z gościem. Tyle co potrafił powiedzieć, to żebyśmy czekali nadal. O 7:30 zdecydowaliśmy się wziąć tuk-tuka (1\$) i pojechaliśmy na dworzec, z którego mieliśmy autobus. Oczywiście nasz autobus już odjechał! Był następny o 8:00. Na szczęście były w nim wolne miejsca i bez problemów „przebukowali” nam nasze bilety na ten właśnie autobus. Postanowiliśmy, że kolejnym razem sami będziemy jeździć na autobusy, a nie czekać na ich „pick up’y”!

Podróż do Kratie miała trwać 6 godzin, ale przeciągnęła się do 7. W czasie podróży mieliśmy 2 dłuższe postoje na posiłki.

W Kratie wybraliśmy Star Guesthouse za 5\$ (2 os. pokój z łazienką). Od razu po zakwaterowaniu się pojechaliśmy moto-taxi (motorami, 5\$ od motoru w 2 strony) do pobliskiej wioski na oglądanie rzadko występujących delfinów słodkowodnych, które tutaj żyją w wodach Mekongu. Na miejscu trzeba wykupić bilet na łódź, z której obserwuje się delfiny (7\$ / 1 os.).



Popłynęliśmy w miejsce, gdzie pojawiają się delfiny. Udało nam się wiele razy zobaczyć je, jak się na chwilę wynurzają zaczerpnąć powietrze. Wkrótce zrobiło się ciemno i musieliśmy wracać do Kratie. Jazda na motorze wieczorem to nic przyjemnego.

W oczy wpada mnóstwo insektów. My jako pasażerowie, siedzący z tyłu, mieliśmy o wiele łatwiej niż nasi kierowcy :).

Po powrocie zjedliśmy obiadokolację (3 \$) w naszym guest house'ie i pospacerowaliśmy po pobliskich ulicach. Kratie to ponura miejscina.

Przykładowe ceny:

obrane mango	2000 KHR
obrany ananas	3000 KHR
herbatniki sezamowo-kokosowe (12 ciastek)	3000 KHR

Dzień 7. (21. XI. 2008. Piątek) Kratie – Stung Treng

Dzisiaj chcieliśmy sobie pospać dłużej, bo autobus do Stung Treng mieliśmy dopiero o 13:30, ale obudziliśmy się przed 6:00, bo za oknami pojawiła się wrzawa ludzi oraz mnóstwo przejeżdżających motorów, a w dodatku obok naszego pokoju ktoś głośno oglądał telewizję. Nie dało się już zasnąć.

Potem wyszliśmy na miasteczko w poszukiwaniu taniego śniadania, ale niestety nic godnego uwagi nie znaleźliśmy, więc zjedliśmy w naszym guest house'ie. Następnie pospacerowaliśmy po rynku robiąc zdjęcia i kupując kilka owoców (6000 KHR za 1 kg granatów) oraz wstępując na Internet (1000 KHR za 15 min.).

Po odpoczynku w pokoju (od upału na dworze) około 13:00 poszliśmy oczekiwać na nasz autobus do Stung Treng (przy biurze firmy Sorya, tam, gdzie kupiliśmy dzień wcześniej bilety – bardzo blisko rynku i Star Guesthouse, bilet 6 USD).

Sprzedający bilety wymienił nasze wczoraj zakupione bilety na inne (oczywiście na ten sam autobus) i powiedział, że autobus przyjedzie o 13:45.

Obok biura Sorya mieściła się przychodnia, następnie apteka i optyk. Wszystko mieściło się w murowanych starych „jakby garażach” zamykanych metalowymi kratami. W przychodni widzieliśmy ludzi siedzących lub leżących na łózkach za parawanami oraz jedną dziewczynkę, która była podłączona do kroplówki i siedziała sobie z rodzicami przed

wejściem na ławce, bo w środku nie było już miejsc. Wszystko to w bardzo kiepskich warunkach higienicznych. Zaskakujący widok.

Z drugiej strony biura Sorya mieściła się restauracja, do której zaglądali „panowie w garniturkach”. Podjeżdżali lepszymi samochodami lub motorkami. Jeden z nich zsiadłszy z motoru wyjął szmatkę i otrzepał się nią z kurzu. Nawet z niego pokurzyło. Następnie schował chustę, zostawił swoją „biznes-teczkę” na motorze i wszedł do restauracji.



Tymczasem my czekaliśmy i czekaliśmy, starając się zachować azjatycką cierpliwość i pogodę ducha, aż w końcu o 14:45 przytoczył się nasz autobus! :). Do Stung Treng wyruszyliśmy po 15 minutach, jednak po 5 minutach jazdy kolejny postój – tankowanie. Potem już bez przerw dojechaliśmy po 2 godzinach do Stung Treng.

Poszliśmy do Riverside Guesthouse (nocleg 3 USD / 2 os.), gdzie kupiliśmy bilety na jutrzejszy przejazd do Pakse w Laosie (15 USD / 1 os.). Zdecydowaliśmy się wykupić ten przejazd ponieważ z przeczytanych relacji wynikało, że przekraczanie granicy na własną rękę jest uciążliwe, czasochłonne i często wcale nie tańsze niż taki zorganizowany przejazd.

Wieczorkiem posiedzieliśmy przy piwku (Angkor 0,33l -1 \$, obiad – 1,75 \$ - ryż, mięsko i warzywa) nad Mekongiem przy naszym guest house'ie. Świetna atmosfera, aż chciało się zatrzymać na dłużej tą chwilę.

Dzień 8. (22. XI. 2008. Sobota) Stung Treng – Pakse - Vientiane

Na 7:40 byliśmy już przed naszym guesthouse'em (planowany wyjazd był na 8:00). Minibus podjechał tuż przed 8:00. Razem z dwiema turystkami wsiedliśmy do busa i punktualnie o 8:00 odjechaliśmy, aby po około 50 minutach dojechać do granicy.

Na części kambodżańskiej wszystko przebiegło sprawnie i szybko. Celnicy jednak żądali „stamp fee” w wysokości 1 USD od osoby. Potem czekaliśmy kilkanaście minut na drugi minibus, który podwiózł nas na część laotańską granicy. Tutaj również wszystko odbyło się szybko i sprawnie, jedynie „stamp fee” wynosiła 2 USD.

O 9:30 wyruszyliśmy dalej, aby za 10 minut wysiąść i czekać znowu na kolejny bus.



O 9:50 jechaliśmy już dalej. Około 10:30 dojechaliśmy do (chyba) Don Khan – stąd można było popłynąć na wyspy Mekongu, m.in. na Don Det. Tutaj mieliśmy już ostatnią przesiadkę, jednak na kolejny autobusik czekaliśmy godzinę. Cała organizacja była trochę chaotyczna, jednak jak zjawił się autobus pojawił się nasz poprzedni kierowca i pokierował nas do odpowiedniego pojazdu.

Po drodze do Pakse kierowca zatrzymywał się w tych miejscach, w których chcieli wysiadać inni turyści (wiedział o tym wcześniej). Na miejsce dojechaliśmy około 14:30, na dworzec „VIP bus station”, skąd odchodzą m.in. autobusy do Vientiane. Tutaj kupiliśmy bilety na autobus sypialny do Vientiane na godzinę 20:00 (170.000 LAK). Na dworcu można było skorzystać z kibelka (1000 LAK) oraz wziąć prysznic (5000 LAK, ręcznik dają), a także zostawić bagaż w przechowalni za 5000 LAK, Internet – 5000 LAK za 30 minut, 8000 LAK za godzinę.

Posiedzieliśmy chwilę na dworcu, a potem poszliśmy na poszukiwanie taniego żarcia (przy dworcu jest nie za droga restauracja). Trochę się nachodziliśmy zanim coś znaleźliśmy, bo o tej porze tanie barki jeszcze nie były otwarte. Są otwierane dopiero wieczorem. W dzień pozostają na ogół tylko restauracje.

Zjedliśmy smaczny obiad (ryż, mięso, warzywa, piwko beerlao – 4,5\$ za 2 osoby) i zasiedzieliśmy się tutaj trochę obserwując uliczne życie mieszkańców.

Następnie wracając na dworzec wstąpiliśmy na bazar (obok dworca). Oczywiście część mięsno-rybna odstraszała swoim zapachem. Na ogół bazyry pustoszeją już około 18:00, a godzinie 18:30 ten bazar był już zupełnie pusty!

Resztę czasu do autobusu przeczekaliśmy na dworcu. Przed odjazdem odświeżyliśmy się trochę w łazience nad zlewem. Autobus podstawiono kilkanaście minut przed 20:00. Zapakowaliśmy nasze plecaki do luku bagażowego, a sami rozłożyliśmy się na naszym ciasnym 2-osobowym łóżeczku na pięterku. Pierwszy raz widzieliśmy sypialny autobus. W zasadzie autobus taki zabiera tyle samo osób co normalny autobus. Łóżka są 2-osobowe i piętrowe na długość ok. 2 normalnych siedzeń w autobusie. Z tyłu autobusu jest „wielkie” 5-sobowe łóżko piętrowe. Autobus miał kibelek, więc w nocy nie trzeba było się martwić o załatwianie potrzeb. Łóżka były pościelone świeżą pościelą (nie trzeba się przebierać do spania). Każdy miał małą ale grubą kołdrę – bardzo się przydała w nocy! Azjaci mają to do siebie, że jak mają klimatyzację w autobusie, to włączają ją na maksa! Do dzisiaj nie mogę ich zrozumieć dlaczego tak robią. W autobusach jest tak zimno, że trzeba się ubierać, albo szczelnie nakrywać kołdrą! Co ciekawe dla nich to zimno jest jeszcze bardziej odczuwalne niż dla nas Polaków. A jak się ich prosi o podniesienie temperatury, to często nie reagują na to.



Łóżka są dosyć krótkie (ok. 150-170 cm), więc dla wysokich ludzi będzie dosyć niekomfortowo podróżować takim autobusem. Mieliśmy okazję się o tym przekonać podczas naszej podróży – obok nas jechało dwóch wysokich chłopaków – ciężko im było się ułożyć :).

Na podróż dostaliśmy po małej wodzie, jogurcie truskawkowym i małym ciasteczku. Po drodze mieliśmy jeden postój na posiłek. Podróż minęła szybko i wygodnie. W Vientiane byliśmy punktualnie o 6:00. Z dworca, na który dotarliśmy, można dojechać na dworzec miejski, mieszczący się naprzeciwko rynku Talat Sao, autobusem nr 02 za 3000 LAK.

Z Talat Sao wyruszyliśmy piechotką w poszukiwaniu taniego guesthouse'u w okolicy „Wat Tan”. Łatwo nie było – większość tanich guesthouse'ów była pełna, ale w jednym załapaliśmy się na ostatni wolny pokój w PP Guesthouse (70.000 LAK, pokój 3-sobowy, ale był tylko dla nas). Generalnie z noclegami nie ma problemu – zawsze się coś znajdzie, ale najwyżej będzie drogie - ok. 22 \$.

Przykładowe ceny:

Pakse:

wafelki (16 szt. po 8 gram) 4000 LAK

Vientiane:

pepsi 0,33 l. 3000 LAK (dworzec przy Talat Sao)

bagietka długa 2000 LAK (dworzec przy Talat Sao)

3000 LAK (w okolicy PP Guesthouse)

Dzień 9. (23. XI. 2008. Niedziela) Vientiane

Po prysznicu wybraliśmy się do parku Buddy – Xieng Khuan (minibus podmiejski nr 14 z dworca przy Talat Sao, 5000 LAK od osoby). Bilet wstępu do parku kosztuje 5000 LAK, za robienie zdjęć płaci się dodatkowo 3000 LAK.

Park był dosyć ciekawy, chociaż porę dnia wybraliśmy niekorzystną (południe) – szczególnie na zdjęcia. Jest to mały obszar upakowany licznymi figurkami Buddy oraz innych postaci.

Podczas powrotu do centrum porozmawialiśmy chwilę z mnichami. Tego dnia było bardzo gorąco, co się odbijało na tym, że szybko się męczyliśmy zwiedzaniem.



Po powrocie do centrum udaliśmy się na obiad do klimatyzowanej restauracji, aby odpocząć trochę od tego żaru z nieba przy zimnym Beerlao (Beerlao 640 ml. – 10.000 LAK, frytki – 13.000 LAK, smażone grzybki z czosnkiem i chlebkiem – 18.000 LAK).

Po posiłku i odpoczynku w restauracji poszliśmy zobaczyć świątynię Wat Ho Phra Keo, a następnie łuk triumfalny, z którego można zobaczyć panoramę miasta.

Potem złapaliśmy tuk-tuka i za wytargowane 20.000 LAK (cena z „cennika tuk-tuka” to 30.000 LAK) pojechaliśmy na autobusowy dworzec północny, żeby kupić na jutro bilety do Luang Prabang. Na miejscu okazało się, że biletów nam nie sprzedadzą tego dnia. Można je kupić tylko w dniu odjazdu. Zatem na darmo wydaliśmy kasę na dostanie się tutaj (powrót do Talat Sao wytargowaliśmy na 15.000 LAK).

Wracając do guesthouse'u wstąpiliśmy jeszcze na kolację nad Mekongiem, tuż pod PP Guesthouse. Świetna atmosfera. Za smażony makaron z wieprzowiną i warzywami zapłaciliśmy 15.000 LAK.

Przykładowe ceny (sklep)

Beerlao 640 ml.	9000 LAK
dżem 170 g.	10.000 LAK
woda 1,5 l.	5000 LAK !!

Dzień 10. (24. XI. 2008. Poniedziałek) Vientiane – Luang Prabang

Na godzinę 6:00 przyjechaliśmy na dworzec północny tuk-tukiem za wytargowane 30.000 LAK (w nocy i wcześniej rano chcą 40.000 LAK) – rano mało jeździ tuk-tuków.

Okazało się, że autobus o 6:30 zepsuł się i nie będzie kursu o tej godzinie. Następny był o 7:30, więc kupiliśmy bilety na niego (110.000 LAK / 1 os.).

Autobus ruszył dopiero o 8:00 (był klimatyzowany). Na początek dostaliśmy po reklamówce foliowej. Zapewne na śmieci, pomyśleliśmy. Jak się później okazało – nie tylko, ale po kolei. Na końcu autobusu jechał z nami „tajny ochraniarz”. Ewa zauważyła go ukradkiem, jak chował kałasznikowa. Podobno kiedyś na tej trasie zdarzały się jakieś incydenty z górskimi plemionami, ale przeszło to już raczej do przeszłości.

Do Vang Vieng dojechaliśmy w 3,5 godziny. Już przed Vang Vieng pojawiły się fajne góry. Im jechaliśmy dalej na północ tym widoki robiły się ciekawsze. Na mapie Vang Vieng jest mniej więcej w połowie drogi do Luang Prabang, jednak ta druga połowa zajmuje dużo więcej czasu, bo jest tam dużo bardziej górzyskie (całość zajęła nam 11 godzin).



Po jakimś czasie zatrzymaliśmy się na obiad. Potem jazda i znowu przystanek na zakupy zieleniny u miejscowych, i dalej w drogę. Cały czas serpentyny, jedna za drugą. Choć widoki piękne, to podróż się nam dłużyła i stawała się coraz bardziej męcząca do tego stopnia, że ludziom robiło się niedobrze od tych serpentyn. Niektórzy już nie wytrzymywali i wymiotowali do reklamówek foliowych, które rozdano nam na początku jazdy :). Ewa również przeżywała krytyczne momenty, ledwie powstrzymując się od pawia!

Po tych męczarniach, zgodnie z planem (po 11 godzinach) dojechaliśmy do Luang Prabang, pogrążonego już w ciemnościach. Razem z innymi turystami wzięliśmy tuk-tuka

(10.000 LAK od osoby) i dojechaliśmy do wybranego przez nas guesthouse'u, ale nie było już w nim wolnych pokoi. Szukaliśmy więc innego niedrogo noclegu. Trafiliśmy do Chittana Guesthouse (80.000 LAK / pokój 2 os.).

Po zakwaterowaniu się poszliśmy pospacerować po miasteczku, zjeść kolację i zobaczyć słynny nocny targ. Centrum Luang Prabang jest bardzo zadbane i ładne. Mnóstwo restauracji, biur podróży. Na pierwszy rzut oka widać, że jest to bardzo turystyczne miejsce. Na ulicach mnóstwo turystów. Pomimo tego bardzo nam się tutaj spodobało.

Przykładowe ceny

obiad (ryż, kurczak, warzywa)	18.000 LAK
Beerlao 640 ml.	8.000 LAK

Dzień 11. (25. XI. 2008. Wtorek) Luang Prabang, Pak Ou, Xang Hai, Xang Kong

Dzisiaj wstaliśmy przed 6:00, żeby zobaczyć procesję mnichów, którzy wychodzą każdego dnia około godziny 6:00, aby zbierać od ludzi żywność. Po wyjściu na ulicę doznaliśmy małego szoku. Na mnichów czekało mnóstwo turystów. Nie spodziewaliśmy się tak wielu osób.

Kilkanaście minut po 6:00 pojawili się mnisi w swoich żywo-pomarańczowych szatach. Szli gęsiego na boso po chodniku, na którym byli w rzędzie usadowieni ludzie składający im w ofierze żywność. Każdy z nich miał ze sobą pojemnik na ryż. Dostawali od ludzi po szczypcie ryżu, rzadziej banany lub inne pokarmy w reklamówkach. Mnisi to, co dostali, oddawali czasami żebrakom. Wszystko działo się w chłodnej i mglistej aurze.



Po procesji udaliśmy się na śniadanie i poszliśmy wykupić na dzisiaj wycieczkę do jaskiń w Pak Ou. Żałowaliśmy, że nie zrobiliśmy tego dzień wcześniej, bo dzisiaj baliśmy się, że będzie już za późno, jednak dosłownie w ostatnich minutach udało nam się kupić bilety na łódź do Pak Ou i wioskę Xang Hai, potocznie nazywaną Whisky Village (70.000 LAK / 1 os.).

Pokierowano nas nad brzeg Mekongu, gdzie inni turyści również czekali na łódź. Tam wymieniono nasze bilety z biura na inne (sądzę, że kupując bilety tutaj na miejscu zapłaciło by się mniej). Czekaliśmy tutaj jeszcze z pół godziny zanim dostaliśmy się na naszą łódź (po 6 osób na łódź). W cenę wycieczki wliczony był rejs do Pak Ou i jeden przystanek na wizytę w wybranej wiosce – domyślnie w Whisky Village. Dowiedzieliśmy się, że jeśli chcemy wstąpić do jeszcze jednej wioski, to musimy dopłacić kierowcy łódki.

W Pak Ou bilet wstępu (do 2 jaskiń, małej i dużej) kosztował 20.000 LAK / 1 os., czego nasza wycieczka nie sponsorowała! Większa jaskinia była w ogóle nie oświetlona! Bez latarki nic tu nie można zobaczyć. Przed wejściem była oczywiście możliwość wypożyczenia latarki za jedyne 10.000 LAK.

Mała jaskinia była na tyle mała, że światło dzienne ją dobrze oświetlało. W obu jaskiniach jest dużo małych i większych figurek Buddy. Generalnie Pak Ou nas zawiodło. Nie było tam dla nas nic szczególnego. Byliśmy raczej zdegustowani.

Miło wspominać rejs po Mekongu. Ładne widoki, szczególnie w porannym (lub południowym) świetle. Na łodzi trochę wiało i czasem chlapało, więc na taki rejs dobrze jest zabrać coś cieplejszego.

Potem płynąc do Xang Hai (Whisky Village) namówiliśmy innych współpasażerów (wszyscy byli młodzi) na odwiedzenie jeszcze jednej wioski Xang Kong, gdzie wytwarza się naturalny jedwab i papier. Następnie dzięki pomocy jednego z naszych współpasażerów,

który znał laotański, dogadaliśmy się z łódkarzem, że zabierze nas do Xang Kong za dodatkową opłatą 20.000 LAK (pertraktacje trwały naprawdę długo – oczywiście chodziło o cenę, chciał od każdego po 10.000 LAK).

Wioska potocznie nazywana Whisky Village, to nieduża miejscina, gdzie produkuje się domowymi sposobami whisky i wina z ryżu. Oprócz straganów z alkoholami mieściło się tam również dużo straganów z innymi rzeczami, w większości z wyrobami z jedwabiu. Można było tutaj kupić whisky z węzami, skorpionami itp. Jednak posiadanie takiego trunku może okazać się dużym



problemem na granicy. Jeśli ktoś zostanie sprawdzony i okaże się, że w alkoholu zanurzone jest chronione stworzenie, to będzie miał naprawdę przekichane.

Xang Kong to miejsce, gdzie wyrabia się naturalny jedwab i papier. Moim zdaniem ta wioska jest dużo ciekawsze niż Xang Hai. Widzieliśmy jak tutejsi mieszkańcy wyrabiają papier i jedwab. Papier powstaje z kory jakiegoś drzewka, którą to się tłucze młotkiem. Następnie rozbitą na miazgę korę moczy się w wodzie nawet 3 dni, a potem wysusza. Do tego można dodawać trawy lub odciskać różne kształty otrzymując świetny papier dekoracyjny.

Jedwab produkują gąsienice motyla nocnego, które przez miesiąc żywią się liśćmi różnych gatunków drzew. Po czwartym linieniu rozpoczynają owijanie się w kokon, co trwa 3 dni. Po tym czasie jedwabniki rozdziela się na te, które przepoczwarczą się w motyla, by dać początek kolejnemu cyklowi rozwojowemu, oraz te, z których pozyskuje się jedwab. Barwa włókien jedwabiu surowego zależy od rasy jedwabnika, przeważnie bywa kremowa, biała lub żółta. Kokony zanurza się w gorącej wodzie, znajdując koniec każdej nici jedwabnej, a następnie zawija na szpulę. Z jednego kokonu otrzymuje się ok. 1,6 km bardzo cienkiej jedwabnej nici. Piękne żywe kolory otrzymuje się barwiąc jedwab w naturalnych barwnikach, a tkanie odbywa się na krosnach.



Następnie wróciliśmy do Luang Prabang, gdzie po obiedzie weszliśmy na wzgórze, gdzie mieści się Wat Phu Si (wstęp 20.000 LAK od osoby), skąd obserwowaliśmy panoramę miasteczka przy pięknym zachodzie słońca. Luang Prabang jest położone w malowniczym miejscu.

Wieczorkiem pojechaliśmy na dworzec autobusowy (tuk-tuk 35.000 LAK w 2 strony) kupić na jutro bilety do Luang Nam Tha (80.000 LAK + 10.000 LAK rezerwacja miejsca) na godzinę 17:30 (w biurze podróży ten sam bilet kosztował 120.000 LAK), potem wykupiliśmy wycieczkę nad wodospad Kuang Si (45.000 LAK od osoby) na jutro na 11:30, następnie poszliśmy na zakupy pamiątkowo-prezentowe na nocny targ.

Przykładowe ceny

chusta z jedwabiu „1 klasa” w wiosce Xang Kong	75.000 LAK (cena wstępna to 20\$)
3 chusty jedwabne na nocnym targu	120.000 LAK
poszwa 2,5m x 2,5m na nocnym targu	140.000 LAK
T-shirt	20.000 LAK

Dzień 12. (26. XI. 2008. Środa) Luang Prabang, Kuang Si – Luang Nam Tha

Chociaż dzisiaj ciężko było mi wstać, to poszedłem zobaczyć jeszcze raz mnichów, a potem pospacerowałem po mglistym miasteczku. Panowała świetna atmosfera. Życie powoli budziło się do życia. Mgła bardzo powoli ustępowała.

Po śniadaniu wybraliśmy się pooglądać kilka świątyń w tym klejnot Luang Prabang – Wat Xieng Thong. Na 11:30 stawiliśmy się pod biurem, w którym wykupiliśmy wycieczkę na wodospad Kuang Si (Phone Travel). Okazało się, że minibus się popsuł i zaproponowano nam wyjazd popołudniowy o 13:00! No to lipa! 13:00 nam nie pasowała, bo o 17:30 mieliśmy autobus do Luang Nam Tha. Zdenerwowaliśmy się trochę, wytłumaczyliśmy naszą sytuację i nie dawaliśmy się spławić. Na szczęście trafiliśmy chyba na kierownika. Dodatkowo widoczne niezadowolenie i zmartwienie Ewy pomogło podjąć kierownikowi decyzję, że załatwi nam inny transport. Załatwił nam tuk-tuka z innymi turystami.

Dojazd na wodospad zajmuje ok. 45 minut. Wejście kosztowało 20.000 LAK od osoby. Miejsce super. Oprócz wodospadu, można tam zobaczyć czarne niedźwiedzie i tygrysy (są ogrodzone). Sam wodospad jest wielki i składa się z kilku progów. Pierwsze które się mija są piękne, ale nieduże. Ostatecznie dochodzi się do kilkudziesięciometrowego prog, gdzie od bryzy wodnej trudno nie przemoknąć. Przy mniejszych progach są oczka wodne, gdzie można się popluskać w błękitno-mlecznej wodzie. Woda jest jednak bardzo zimna! Urocze miejsce.



Do Luang Prabang wróciliśmy godzinę później niż planowaliśmy, tj. o 16:15. Poszliśmy jeszcze szybko na obiad, potem odrzutem do naszego guesthouse'u po plecaki, które zostawiliśmy na recepcji (żeby nie płacić za kolejną dobę). Plecaki pozwolono nam zostawić bezpłatnie, ale ostatecznie zostawiliśmy napiwek bardzo sympatycznemu recepcjoniście.

Potem szybko na dworzec i o 18:00 dopiero wyjechaliśmy. Zauważyliśmy, że w Laosie są dwie godziny „odjazdów” autobusów. Pierwsza z nich to podstawienie autobusu i/lub sprawdzanie biletów, a druga to czas odjazdu. Często jednak wypada być na tą pierwszą godzinę, żeby dostać miejsce.

Autobus był bez klimatyzacji, ale z otwieranymi okienkami, co podczas jazdy chłodziło jeszcze lepiej niż klimatyzacja.

Po drodze była przerwa na kolację. Większości drogi była koszmarna. Nie dało się zasnąć, tak trzęsło na dołach i serpentynach. W dodatku koło północy zrobiło się bardzo zimno (nasze okienko dodatkowo było nieszczelne), a my nie mieliśmy się w co ubrać (plecaki były w luku bagażowym).

Na miejsce dojechaliśmy o 3:00 nad ranem! Trzęśliśmy się z zimna jak galareta. Szybko się ubraliśmy. Autobus pojechał dalej do granicy z Tajlandią, a my z pozostałymi 4 turystami zostaliśmy na odludnym, ciemnym i pustym dworcu. Dosłownie pustkowie, wokół nic nie było widać. Na szczęście wybudził się jakiś cieć i zadzwonił po tuk-tuka dla nas.

Pojechaliśmy wszyscy razem to centrum Luang Nam Tha (10.000 LAK od osoby / było na 6 osób). Jak się okazało był to kawał drogi od dworca. Trudno mi powiedzieć ile czasu jechaliśmy, ale myślę, że koło 20 minut!

Na miejscu w pierwszym guesthouse'ie nie było już wolnych miejsc, więc poszliśmy szukać dalej. W kolejnym mieli wolne pokoje (70.000 za dwójkę). Jak się okazało musieliśmy oczywiście płacić już za ten „ranek”.

Dzień 13. (27. XI. 2008. Czwartek) Luang Nam Tha

Rano dowiedziawszy się, że musieliśmy płacić za ten przespany „poranek”, postanowiliśmy poszukać coś tańszego na kolejny nocleg. Znaleźliśmy Bounthavong Guest House za 40.000 LAK od osoby. Czysto, bardzo dobre warunki i sympatyczni właściciele.

Po śniadaniu kupiliśmy bilety na jutrzejszy autobus do Huay Xai za 70.000 LAK od osoby (dojazd tuk-tukiem na dworzec wliczony w cenę). Następnie poszliśmy na ranny targ.

Targ jak targ, ale można tutaj zobaczyć czasami kobiety z różnych plemion. My widzieliśmy grupkę kobiet z plemienia Hmong.

Następnie wypożyczyliśmy rowery górskie za 10.000 LAK na cały dzień (3000 LAK za godzinę) i pojechaliśmy zobaczyć wodospad Namdee (wstęp 2000 LAK, za rower dodatkowo 1000 LAK). Mapkę okolicy dostaliśmy w biurze turystycznym.

Po drodze na wodospad mijaliśmy okoliczne wioski. Zupełnie tu inaczej niż w większych miasteczkach. Życie toczy się zupełnie inaczej. Krajobrazy malownicze. Po drodze mijaliśmy kilka kobiet z różnych plemion (ale żadna nie chciała dać się sfotografować). Podglądaliśmy życie mieszkańców, chwilę z nimi rozmawialiśmy. Super przygoda!



Po powrocie do Luang Nam Tha wjechaliśmy jeszcze na wzgórze z połączoną stupą – w środku była remontowana. Tam spotkaliśmy Niemca, od którego dowiedzieliśmy się, że w Bangkoku znowu zaczęły się protesty (członkowie jednej z partii domagali się odejścia z rządu jednego polityka, który jak twierdzili został wybrany przez sfałszowanie wyborów) i zablokowano oba lotniska – międzynarodowe i narodowe. Nie zmartwiliśmy się tym za mocno, bo jeszcze do odlotu mieliśmy prawie 2 tygodnie.

Po zdaniu rowerów napotkaliśmy na ulicy na kilka kobiet z plemienia Akha, które sprzedawały na ulicy koraliki. Postanowiliśmy, że kupimy coś od nich, żeby móc zrobić im zdjęcie :). Zdziałało, ale dodatkowo jedna z nich poprosiła, aby jej wywołać zdjęcie. Poszliśmy więc do zakładu fotograficznego, ale był już on zamykany i właściciel nie chciał już uruchamiać maszyny dla 1 zdjęcia. Ostatecznie zgodził się nam wydrukować zdjęcie za 2000 LAK – 10x15cm – jakość fotograficzna!

Pani od koralików bardzo się ucieszyła ze zdjęcia. Tak bardzo, że chwaliła się nim innym turystom :). Natomiast druga pani, która była z tą pierwszą, zaczęła się denerwować, że niby ona też chciała zdjęcie. Niestety dla niej już nie odbiliśmy.

Po ostatniej kolacji w Laosie poszliśmy do naszego guesthouse'u odpocząć po ostatniej koszmarnej nocy.

Przykładowe ceny:

internet

200 LAK za 1 minutę

obiad

od 12000 LAK

Dzień 14. (28. XI. 2008. Piątek) Luang Nam Tha – Chiang Mai

O 7:30 byliśmy w jakiejś restauracyjce, gdzie zjedliśmy śniadanie. O 8:00 czekał już na nas tuk-tuk, którym dojechaliśmy na dworzec autobusowy (normalnie za ten odcinek tuk-tukarze biorą 10.000 LAK od osoby).

Po godzinie 9:00 (jest jeszcze autobus o 13:30 do Huay Xai) wyjechaliśmy do Huay Xai. Po drodze mijaliśmy piękne górskie widoki oraz wioski. Mieliśmy kilka przerw po drodze, w tym oczywiście na siusiu przy drodze.

Do Huay Xai dojechaliśmy po ok. 4 godzinach jazdy. Z dworca wzięliśmy tuk-tuka do granicy za 10.000 LAK od osoby (cena wywoławcza to 15.000 LAK). Granicę laotańską przekroczyliśmy szybko i sprawnie, bez żadnych opłat typu „stamp fee” lub „lunch time fee”. Łódka na brzeg tajski kosztował 40 THB (lub 10.000 LAK) od osoby. Do Tajlandii (granica w Chiang Khong) dostaliśmy się również szybko i bez opłat.

Na dworzec w Chiang Khong doszliśmy piechotką (ok. 2,5 km, tuk-tuki biorą chyba 40 THB). Tam złapaliśmy od razu autobus do Chiang Rai za 70 THB od osoby, którym wyruszył o 14:40.

Na miejscu byliśmy ok. 17:00. Autobus do Chiang Mai złapaliśmy dopiero na 18:30, bo na wcześniejsze nie było już miejsc. Był to autobus VIP'owski, więc zapłaciliśmy 180 THB od osoby (firma Green Bus). Na początku jazdy puszczano w telewizji reklamę firmy, a potem instruktaż postępowania w razie wypadku :). Normalnie jak w samolocie :). Potem włączono film. W autobusie była stewardessa, która rozdała po buteleczce wody i małej paczce ciastek.

Podróż trwała tylko 3 godziny (czyli w Chiang Mai byliśmy o 21:30). Byliśmy zdziwieni, bo niby Chiang Mai to duże miasto, ale na ulicach były pustki! Nawet nie było widać tuk-tuków. Początkowo chcieliśmy iść na piechotę do dzielnicy tanich guesthouse'ów, ale nie mogliśmy się odnaleźć na mapie – okazało się, że ktoś wprowadził nas w błąd, mówiąc że dojechalśmy na dworzec Chang Pheuk. W rzeczywistości był to dworzec Arcade, a stamtąd to rzeczywiście daleko do centrum.

Złapaliśmy na drodze jakiegoś tuk-tuka, który nas zawiózł za wytargowane 80 THB pod Grace House. Ten był już zamknięty o tej porze, więc poszliśmy szukać czegoś innego. Dużo tutaj tanich miejsc noclegowych, ale większość była pełna. Ostatecznie znaleźliśmy pokój za 200 THB (dwójka) przy ulicy Soi 6, która odchodzi od ulicy Ratchaphakhinai.

Przykładowe ceny

1 kg mandarynki w Chiang Khang	10 – 20 THB
--------------------------------	-------------

Dzień 15. (29. XI. 2008. Sobota) Chiang Mai – Mae Hong Son

Dzisiaj czekała nas druga część „maratonu autobusowego”, której już wczoraj mieliśmy dość! Przed godziną 6:00 złapaliśmy czerwonego pickup'a (to tutejsze miejskie busiki) i za 60 THB (za 2 osoby) dojechalśmy na dworzec Arcade, żeby kupić bilety do Mae Hong Son. Wczoraj nie mogliśmy kupić tych biletów, bo kasy były zamknięte. Kolejka była spora, a w dodatku to był weekend, co powodowało w nas niepokój, że nie dostaniemy się na żaden wczesny autobus do Mae Hong Son, a w dodatku że będziemy mieli problemy ze znalezieniem noclegu – słyszeliśmy od recepcjonistki naszego guesthouse'u, że dużo Tajów wyjeżdża na weekend do Mae Hong Son (ona kiedyś też była i ledwie znalazła nocleg).

Na szczęście bilety dostaliśmy na godzinę 7:00 na zwykły autobus za 142 THB od osoby. Do Mae Hong Son dojechalśmy na 14:00. Tutaj szybko znaleźliśmy tani i wolny pokój za 150 THB w Jonnie House. W PA Tours wykupiliśmy 2-dniowy trekking za 5200 THB (nie było innych chętnych, więc cała cena obejmowała tylko nas dwoje – w tym czasie



było mało turystów, prawdopodobnie dlatego, że lotniska w Bangkoku były zablokowane). Cena zawierała godzinną jazdę na słoniu (200 THB/1 os.), wizytę w wiosce Long Neck (250 THB/1 os.) oraz bamboo rafting (300 THB/1 os.). Te 3 opcje były dodatkowo wybrane przez nas. Bez nich cena samego trekkingu jest oczywiście odpowiednio mniejsza.

Mae Hong Son to bardzo przyjemna malownicza i cicha miejscowina. Jest tutaj naprawdę miło, szczególnie wieczorem wokół jeziora Jong Kum, gdzie mieści się jeden większy targ – dużo bardziej czystszy porównując do kambodżańskich. Na ulicach w tym czasie było niedużo turystów (zapewne przez blokady lotnisk w Bangkoku).

Przykładowe ceny

hamburger w Chiang Mai	20 THB
woda 1 l.	5 THB
pepsi 0,5 l.	10 THB

chipsy	20 THB
internet w Mae Hong Son	10 THB / 20 min.
pieczone ziemniaki w cieście kokosowym w MHS	1 THB / 1 szt.

Dzień 16. (30. XI. 2008. Niedziela) Mae Hong Son

Rano, zanim się wykwaterowaliśmy z Jonnie House, właścicielka oznajmiła nam, że pokoju nam nie zarezerwuje (choć dzień wcześniej mówiła co innego), bo jej mąż komuś go obiecał. Wydaje nam się, że stało się tak dlatego, że odmówiliśmy wykupienia u nich trekkingu.

O 8:00 wyruszyliśmy samochodem na przejażdżkę słoniami. Duże plecaki zostawiliśmy u pani, u której wykupiliśmy trekking.

Po kilkunastu minutach dojechaliśmy na brzeg jakiejś rzeczki. Na przeciwległym brzegu pojawiły się słonie, a jeden z nich przechodził przez strumień do nas. Nad brzegiem była swego rodzaju ambona, z której wsiadało się na słonia. Było nas tylko dwoje, ale słonia stało na drugim brzegu z 6 sztuk.

Wsiadliśmy oboje na jednego słonia i ruszyliśmy z powrotem przez strumień na drugi brzeg. Super wrażenie na początek. Dla nas głęboko, a słon tylko do połowy zanurzony. Choć przejażdżka ta była zorganizowana, to słonie nie były niczym przestrojone, miały jedynie 2-osobowe siodło z drewna. Wyglądało to bardziej naturalnie niż turystycznie. Sam poganacz słonia siedział na jego głowie, ubrany naturalnie, co raz pociągał słonia za uszy swoim metalowym, tępym „haczykiem”, gdy ten się zatrzymywał.



Wrażenia super, chociaż długa jazda może być raczej niewygodna na siodle. Jazda trwała około godziny. Słoń szedł bardzo wolno i leniwie, aż trudno było sobie wyobrazić, że jak się to wielkie zwierze zdenerwuje, to potrafi szybko się ruszać i wyrządzić wiele szkód.

Na zakończenie przejażdżki zakupiliśmy kilka smakołyków dla naszego słonia (10 THB), którymi go nakarmiliśmy. Na końcowym przystanku czekał na nas nasz kierowca, który następnie zabrał nas do wioski „długo-szyjich” kobiet (Long Neck Village).

Długo-szyje kobiety bardzo ciekawe i w ogóle wszystko fajnie, ale jednak odczuwa się, że to coś w rodzaju „ludzkiego zoo”. Samej wioski nie można zwiedzać. Jest tutaj alejka



ze straganami, po której tylko można chodzić i nigdzie więcej. Aby wejść do wioski, trzeba kupić bilet (250 THB). Na straganach handlują długoszyje kobiety. Pozowania do zdjęć nie odmawiają, ale (przynajmniej ja miałem takie wrażenie) widać, że nie robią tego z wielką chęcią, a raczej trochę z obowiązku. Zazwyczaj po zdjęci zapraszały do zakupienia jakiejś pamiątki w ich kramiku.

Potem wróciliśmy do biura i poszliśmy na śniadanie do guesthouse'u obok (Friend House) (omlet z serem i 2 tostami – 40THB, herbata – 15THB).

Po śniadaniu poznaliśmy naszego przewodnika – Pijata i razem wyruszyliśmy samochodem do punktu startu naszego trekkingu. Dołączył do nas jeszcze młody chłopak, który niósł w plecaku nasze jedzenie, wodę i swoje rzeczy na nocleg i za pewne kilka rzeczy dla mieszkańców wioski, którą mieliśmy odwiedzić.

Najpierw szliśmy obok poletek ryżowych i sadów bananowych. Niedługo potem Pijat pokazał nam mrówki, zagnieżdżone w zwiniętym liściu, po czym zaczął je jeść na żywo i poczęstował nas. Naprawdę smaczne były! Smakują podobnie kwaśnie jak szczaw. Zaraz

potem widzieliśmy jakiegoś węża. Pijat co chwilę pokazywał nam ciekawe roślinki, których my sami byśmy pewnie nie zauważyli.

Oddalając się od poletek i sadów doszliśmy do strumienia, wzdłuż którego szliśmy dalej. Co chwilę przechodziliśmy z jednego brzegu na drugi brodząc w wodzie nawet do połowy ud.

W połowie drogi mieliśmy przerwę na lunch (obiad). Dostaliśmy już ugotowany wcześniej ryż z wieprzowiną, a do tego sosy. Pijat wraz z naszym młodym „tragarzem” rozpalili ognisko, na którym ugotowali herbatę w „czajniku” przygotowanym chwilę wcześniej z bambusa. Herbatę zaś piliśmy w kubeczkach bambusowych, zrobionych również na miejscu przez towarzysza Pijata. To było coś rewelacyjnego dla nas. Mając praktycznie tylko małą maczetę chłopaki potrafili tyle rzeczy zrobić z bambusa. Jednocześnie przekonaliśmy się w praktyce jak przydatnym drzewem jest bambus.



Po około 5 godzinach marszu (całościowo) dotarliśmy do jednorodzinnej wioski Karenów. Na miejscu odkryliśmy razem z Ewą, że do naszych stóp przysłało się kilka pijawek, kiedy przechodziliśmy przez strumienie. Po ich oderwaniu długo jeszcze sączyła się krew.

Przed domem nasz przewodnik rozpałił ognisko, przy którym suszyły się zamoczone skarpetki i buty (Pijat i Ewa szli w adidasach). Umyliśmy się w zewnętrznej łaźnicy z drewna, gdzie wodę polewało się na siebie kubeczkami z beczki. Czekać na kolację przyrządzaną przez Pijata grzeliśmy się przy ognisku i w międzyczasie oglądaliśmy pułapki na szczury, zrobione z bambusa. Na dworze robiło się coraz chłodniej. Zupełnie inaczej niż na niższych terenach.

Na kolację dostaliśmy bardzo smaczny i duży posiłek. Wszystko zostało przyrządzone na palenisku wewnątrz chatki. Chatka była postawiona na palach bambusowych. Co ciekawe, chociaż palenisko było wewnątrz chatki, to pomieszczenie w ogóle nie było zadymione. Dym ulatniał się przez strzechę prosto do góry.



Na kolacji mieliśmy okazję spróbować mięsa ze zwierzyny podobnej do naszej sarny (nie pamiętam nazwy) oraz mięsa z pieczonego szczura – smakuje podobnie do kurczaka. Próbowaliśmy również cygar robionych własnoręcznie z suszonych liści bananowca. W ogóle liście bananowca świetnie nadają się do pakowania żywności i nie tylko.

Wieczorem najmłodszy syn razem ze swoim ojcem poszli z latarkami (czołówkami) na polowanie. Mały z procą na szczury, które często są na drzewach, a ojciec ze strzelbą. Ponoć w nocy lepiej się poluje, bo w dzień zwierzyna śpi, a dodatkowo z latarką łatwiej zauważyć zwierzę, bo od jego oczu odbija się światło. Tego wieczoru jednak chłopaki nic nie upolowali.

Na dworze robiło się bardzo zimno! Posiedzieliśmy jeszcze trochę przy ognisku na dworze, po czym poszliśmy spać na przygotowanych dla nas posłaniach z moskitierą (spaliśmy na macie z bambusa, a nad nami wisiała moskitiera).

Dzień 17. (1. XII. 2008. Poniedziałek) Mae Hong Son

Noc okazała się bardzo zimna! Prawdopodobnie temperatura spadła do nawet 5 stopni Celsjusza! To była chyba nasza najzimniejsza noc. Zmarzliśmy trochę. W naszym pokoju spał również Pijat i nasz „tragarz”. Na noc wyjście na zewnątrz z naszego pokoju było zastawione bambusowym płotkiem. Nad ranem (było jeszcze ciemno) ktoś zaczął się szwędzać po chacie.

Ewa się zlekła, ale okazało się, że to był pies, który wszedł przez źle zastawione wejście, które to z kolei wcześniej źle zamknęła Ewa, wracając w nocy z ubikacji :).

Koło godziny 4 lub 5 zaczął pisać kogut i to bardzo długo! Potem przestał, aby za jakąś godzinę znowu dać koncert. Nienajlepiej więc nam się spało tej nocy.

Z posłania zaczęliśmy się z Ewą zbierać koło 8:00. O tej porze wszyscy mieszkańcy już coś robili. Część mężczyzn grzała się przy ognisku na zewnątrz, do których dołączyliśmy i my. Pijat pokazał nam mysz złapaną w bambusową pułapkę, którą wczoraj oglądaliśmy. Okazało się, że tej nocy złapało się kilka myszy, ale jedną Pijat zostawił w pułapce, żeby nam pokazać.

Przygotowanie myszy polegało na wypatroszeniu jej, potem osmaleniu nad ogniskiem, a następnie upieczeniu na ruszcie, zrobionym oczywiście z bambusa.

Śniadanie mieliśmy koło godziny 10:00. Było bardzo smaczne i obfite, aż nawet można powiedzieć, że za duże – nie daliśmy rady wszystkiego zjeść. Dostałem również zupę ze szczura (bo chciałem spróbować), jednak muszę przyznać, że nie smakowała mi. Przede wszystkim dlatego, że sam barszcz był gorzkawy, a kawałki myszy to były raczej kości niż mięso.

Po śniadaniu porobiliśmy pamiątkowe zdjęcia z całą rodziną. Po zdjęciach przyszedł czas na część „niezręczną” – pokazywano nam kilka szalików, zrobionych przez gospodynię domu, i zachęcano nas do ich zakupu. Ostatecznie nic jednak nie kupiliśmy.

Koło 12:00 rozpoczęliśmy powrotny trekking stromym podejściem. Szczerze powiedziawszy było ciężko :). W dodatku wyruszyliśmy zaraz po obfitym posiłku. Ogromny podziw w nas wzbudził nasz młody „tragarz”. Miał około 15 – 16 lat. Niósł trochę naszego jedzenia, kilka butelek wody i kilka swoich rzeczy na nocleg w plecaku na plecach. Nie zauważyliśmy ani razu, aby był choć trochę spocony przez całą drogę. Co ciekawsze nie pociał się nawet na plecach pod plecakiem! W dodatku gdyby nas nie było, to pewnie tą trasę pokonałby 3 razy szybciej niż z nami.



Po wdrapaniu się na strome wzgórze zrobiliśmy chwilowy odpoczynek i zaczęliśmy schodzić, co też męczyło kolana i łydki.

Po drodze Pijat dał mi spróbować jakiegoś cierpkiego owocu, po zjedzeniu którego, jak się pije wodę, to czuć słodki smak. Potem wyjął jakby cukier i umoczył w to ten owoc i zjadał się tym. Myśląc, że to cukier też umoczyłem owoc i spróbowałem. Po chwili wszystko wypłułem z niesmakiem – okazało się, że to nie był cukier tylko sól! :).

Po zejściu z góry mieliśmy przerwę na obiad. Tym razem mieliśmy posiłek przyrządzony podczas robienia śniadania (ryż, mięsko i warzywa), który był zawinięty w liście bananowca i zawiązane sznurkiem zrobionym z bambusa. Jedliśmy zaś łyżkami zrobionymi również z bambusa! Wszystko w 100% ekologiczne i można było to wyrzucić gdzie się chce! Rewelacja.

Potem szliśmy już głównie wzdłuż strumienia, ale tym razem nie zamęczając się, a jedynie przeskakując po kamieniach. Tak doszliśmy do punktu wczorajszego wejścia do dżungli. Tam czekała już z samochodem nasza pani, u której wykupiliśmy trekking. Była wesoła i z zaciekawieniem pytała o to, jak było. Było bardzo miło.

Ustaliliśmy, że na bamboo rafting pojedziemy następnego dnia, bo dzisiejszego dnia było już za późno (z dżungli wyszliśmy koło 16:40).

Muszę dodać to, że kiedy kupowaliśmy trekking nie mieliśmy wymienionych dolarów na bahty, więc pani z biura zgodziła się na to, żeby dać jej w zastaw 100\$ (można było dać paszport lub coś innego), a potem jak wymienimy pieniądze, to jej zapłacimy. Problem z wymianą polegał na tym, że pieniądze można było tutaj wymienić tylko w bankach, a my



trafililiśmy na weekend, przez co w sobotę banki były krócej otwarte, a w niedzielę całkiem zamknięte. Chcieliśmy zatem zrobić to dzisiaj, ale nie zdążyliśmy, bo za późno wróciliśmy z trekkingu. W tej sytuacji pani z biura sama zaproponowała nam, że jeśli potrzebujemy jakichś pieniędzy do jutra, to nam pożyczycy (żartowała, że ma dla nas „dużo pieniędzy” :)). Pożyczaliśmy więc od niej 2000 THB, bo to był nasz ostatni wieczór w Mae Hong Son i chcieliśmy kupić kilka pamiątek oraz nowe sandały dla Ewy, bo stare się zepsuły jeszcze przed trekkingiem. Strasznie sympatyczna pani. Następnego dnia pozwoliła nam zostawić u siebie nasze bagaże na przechowanie, jej koleżanka zawiozła nas na dworzec, abyśmy mogli kupić bilety na autobus do Bangkoku, a na koniec jeszcze nas odwiozła na autobus (za darmo). Nasz przewodnik Pijat również był świetny. W dżungli pokazywał nam dużo rzeczy, był zabawny i sympatyczny. Śmiało zatem możemy polecić firmę P.A.Motor (P.A. Tours).



W Friend House (naprzeciwko P.A.Motor) dostaliśmy pokój za 150 THB (2-osobowy). Tutaj też oddaliśmy kilka rzeczy do pralni (35 THB za 1 kg). Następnie kupiliśmy japonki dla Ewy, potem poszliśmy na internet (maile i śledzenie sytuacji w Bangkoku), a następnie na nocny targ.

Przykładowe ceny:

sandały „japonki” (lepsze)	225 THB
płyta CD z amatorskimi nagraniami	150 THB
odbitka zdjęcia 10x15	6 THB
pocztówka	5 THB
znaczek do Polski	15 THB
miód leśny „2 klasy” 0,7 l.	120 THB
miód leśny „1 klasy” 0,7 l.	200 – 250 THB

Dzień 18. (2. XII. 2008. Wtorek) Mae Hong Son - Bangkok

Dzisiaj mieliśmy mieć bamboo rafting o 9:00, więc wstaliśmy wcześniej, żeby wymienić pieniądze (banki na ogół otwarte od 8:30 do 15:00), wysłać kartki pocztowe, kupić lokalną herbatę oraz odebrać odbitki zdjęć dla rodzinki, u której nocowaliśmy na trekkingu. Następnie wykwaterowaliśmy się z Friend House i zostawiliśmy nasze plecaki w P.A.Motor. Dzisiaj nie było naszej znajomej pani – była jednak jej siostra albo koleżanka, która zawiozła nas na bamboo rafting.

Popłynęliśmy w dół rzeki we dwoje na jednej tratwie z bambusa wraz ze sternikiem. Nie bierzcie żadnych krytych butów, bo stopy są praktycznie cały czas zalewane wodą. Sam rafting był w sumie nudny, ale tego też się spodziewaliśmy. Widoki były takie sobie. Można powiedzieć, że był to zwyczajny spokojny spływ tratwą.

Wracając do Mae Hong Son wstąpiliśmy na dworzec autobusowy, żeby kupić bilety do Bangkoku (autobus wyjeżdża o 14:00 i o 15:00). Zapłaciła za nas pani, z którą tu przyjechaliśmy (769 THB / 1os. – innych biletów nie było) – powiedziała, że potem się za wszystko rozliczymy.

Następnie mając jeszcze trochę czasu zdecydowaliśmy się wejść na górkę, na której jest świątynia Wat Phra Tat i widać panoramę Mae Hong Son (wstęp darmowy). Wracając wstąpiliśmy na obiad (90 THB / 2 os.) oraz odebraliśmy pranie. Na koniec rozliczyliśmy się za wszystko z P.A.Motor i zostaliśmy odwiezieni na dworzec.

Autobus VIP okazał się bardzo wygodny. Wyposażony w klimatyzację, miał rzadziej rozmieszczone rzędy siedzeń (więcej miejsca na nogi), które były rozkładane do pozycji

prawie leżącej. Sama podróż ciężko nam mijała na serpentynach, ale na szczęście większość tego odcinka trasy udało nam się przespać.

Początkowo autobus był prawie pusty, ale na pierwszym przystanku (po ok. 3,5 godziny jazdy) zapełnił się. Wtedy dostaliśmy po butelce półlitrowej wody, małym soczku



pomarańczowym i pudełeczku słodczy – batonik, mała bułeczka z nadzieniem i ciastka-rureczki.

Koło 1:30 w nocy mieliśmy postój na posiłek. Dzięki poznanej w autobusie amerykańskiej parze mieszkającej od kilku lat w Tajlandii, dowiedzieliśmy się, że pokazując bilety autobusowe w tutejszej stołówce, dostaje się za darmo zestaw obiadowy (zupa i drugie danie). Miła niespodzianka.

W autobusie oczywiście było zimno – klima musiała działać na maksa, innej opcji nie było! Po 16 godzinach jazdy dojechaliśmy do stolicy (była godzina 6:00). To było naprawdę męczące, szczególnie część górzysta – źle się czuliśmy od ciągłych serpentyn (mało co się nie porzygaliśmy!) i ciężko było wtedy zasnąć. Jak wyjechaliśmy z gór było już całkiem dobrze.

Dzień 19. (3. XII. 2008. Środa) Bangkok

Okazało się, że dojechaliśmy do dworca Morchit. Nie namyślając się długo, wzięliśmy taksówkę do dworca południowego (taxi-meter – 151 THB), żeby kupić bilety na autobus do Phuket i ewentualnie do Damnoen Saduak (pływający targ). Bilety do Phuket kupiliśmy na 5 grudnia za 524 THB / 1os. / 2 klasa (1 klasa – 673 THB). Planowy czas przejazdu to 13 godzin, wyjazd o 18:00. Natomiast bilety do Damnoen Saduak można kupić jedynie w dniu wyjazdu. Autobusy zaczynają tam jeździć od godziny 6:00 (6:00, 7:00, 8:20, 9:30, ...).

Potem również taxi-meter pojechaliśmy na Khao San Road (83 THB, trzeba pamiętać, że jak są korki, to czas stania w korkach też jest wliczany w cenę przejazdu, tylko, że nalicza się wtedy trochę wolniej niż podczas jazdy). Tam znaleźliśmy jeden Guesthouse za 200 THB/2 os., ale był tak obskurny, że nie napawał nas zaufaniem odnośnie kradzieży, więc poszliśmy szukać dalej. Wybraliśmy Kawin House (300 THB / 2 os.).

Zdrzemnęliśmy się trochę i ok. 11:00 wyruszyliśmy na miasto. Poszliśmy zobaczyć Grand Palace (Pałac Królewski) ze Szmaragdowym Buddą. Po drodze spotkaliśmy Izraelczyka. Los chciał, że staliśmy się wszyscy ofiarami przekrętu. Chociaż dużo wiedzieliśmy na temat różnych przekrętów w Bangkoku, tych dwóch następujących nie znaliśmy.

Przy jednej z bram wejściowych, która tak naprawdę nie była wejściowa dla turystów - wejściowa dla turystów jest tylko jedna!(teraz to wiemy), pewien młody i elegancko ubrany koleś powiedział nam, że dzisiaj pałac otwarty jest dopiero od 14:00, bo jest jakieś święto. Ponieważ było jeszcze przed 13:00, zaczął nam proponować, że do 14:00 możemy zrobić rundkę po innych atrakcjach w Bangkoku i wrócić tutaj. Oczywiście miał mapkę i pokazywał co możemy zobaczyć oraz namawiał na tuk-tuka, stojącego obok. Od razu wyczuliśmy, że to całe namawianie na tuk-tuki za niską cenę jest przekrętem, więc zrezygnowaliśmy i postanowiliśmy się przejść sami do Wat Phu. Tutaj kończy się przekręt pierwszy, na jaki się nabraliśmy, tj. facet nas oszukał, że Pałac był zamknięty! W rzeczywistości był otwarty, trzeba było tylko pójść do głównego wejścia.



Drugi przekręt wyglądał następująco. Kiedy szliśmy w stronę Wat Pho, obok Pałacu Królewskiego, napatoczył się jakiś przechodzień. Facet zagadał do nas, znał angielski, był

bardzo sympatyczny. Zaczął nam opowiadać, że dzisiaj jest dzień Buddy (słowa kluczowe: „Lucky Bhudda”, „Lucky Day”) i że w ogóle mamy szczęście dzisiaj, bo wszędzie bilety wstępu są za darmo, a tuk-tukarze mają dzisiaj paliwo za darmo i dlatego możemy dzisiaj się przejechać bardzo tanio tuk-tukiem. Doradził nam co możemy zobaczyć i zatrzymał z ulicy tuk-tuka (co raczej było ukartowane, ale tego nie zauważyliśmy). Powiedział kierowcy gdzie ma nas wozić i że za 40 THB i nie więcej. Wszystko było tak naturalne i zdaje się spontaniczne, że się nabraliśmy. W planie zwiedzania facet podał nam jakieś miejsce wyprzedaży, mówiąc, że dzisiaj to dobry dzień tam jechać. Myśleliśmy, że to może jakiś fajny bazarek, ale na miejscu okazało się, że to był sklep z garniturami (szyją też tutaj na miarę).

Na początku było wszystko spoko. Rzeczywiście tuk-tukarz nas woził i czekał na nas (to, co widzieliśmy to jakieś podrzędne atrakcje). W jednej świątyni spotkaliśmy jednego chłopaka, który się zdziwił, że chcemy jechać w to miejsce „wyprzedaży”. Uświadomił nas



wtedy, że to sklep z garniturami. Postanowiliśmy, że nie chcemy tam jechać, ale tuk-tukarz stwierdził, że to i tak po drodze i się uparł, więc wstąpiliśmy tam. Weszliśmy do sklepu i po chwili wyszliśmy – nic tu po nas. Pojechaliśmy do następnego punktu zwiedzania. Jak wróciliśmy, naszego tuk-tuka już nie było. Czekaliśmy z 10 minut, łudząc się, że zaraz się pojawi. Stwierdziliśmy, że widocznie dostał lepszą ofertę i nas olał.

Chociaż wiedzieliśmy, że lepiej w Bangkoku unikać tuk-tuków, to stwierdziliśmy, że skoro dzisiaj tak „szczęśliwy dzień” (czyli może bez kantów ze strony tuk-tuków) i paliwo za darmo (ależ byliśmy głupi, że w to uwierzyliśmy, kto by dał paliwo za darmo!), to spróbujemy złapać innego tuk-tuka. Jednak kilku z rzędu chciało ok. 100 THB. Z jednym się dogadaliśmy, że weźmie nas za 20 THB do Pałacu Królewskiego, ale wstąpimy najpierw do jakiegoś sklepu (oczywiście z garniturami), gdzie dzięki nam dostanie niby kupon na darmowe paliwo. Już nam się to nie podobało i śmierdziało, ale zaryzykowaliśmy. Przy pierwszym sklepie Ewa powiedziała, że tutaj już byliśmy, na co on, że nie ma problemu, pojedziemy do innego. Wstąpiliśmy więc na chwilę do innego sklepu – tylko dla formalności. Potem już mieliśmy jechać do Pałacu, ale tuk-tukarz chciał jechać do jeszcze jednego sklepu, tym razem już ostatniego. Protestowaliśmy, ale po chwili ciszy koleś znowu zaczął naciągać nas na kolejny sklep, powtarzając swoje „you help me, I help you”. Wkurzeni całą sytuacją i na siebie, że daliśmy się tak wkopać, na jednej z krzyżówek, kiedy staliśmy na czerwonym świetle, wysiedliśmy z tuk-tuka nie płacąc nic kierowcy. Nie wiedzieliśmy, gdzie byliśmy, nie widzieliśmy żadnych autobusów jadących na Khao San, albo pod Pałac, więc złapaliśmy taksówkę, którą dojechaliśmy do Pałacu Królewskiego (59 THB).

Tak więc strzeżcie się tuk-tuków oraz przekrętów typu „Lucky Bhudda”, czy też „Lucky Day”. Cały przekręt polega na tym, że tuk-tukarze mają układy ze sprzedawcami. Za to, że dostarczony przez nich klient kupi coś w sklepie, dostają prowizję. Całkiem możliwe, że już za samo przywiezienie klienta dostają pieniądze. Są bezczelni w tym co robią!

Pod Pałac Królewski dotarliśmy ok. 15:00. Tym razem trafiliśmy na główne wejście (dopiero teraz się dowiedzieliśmy, że zostaliśmy oszukani z godzinami otwarcia Pałacu). Nie zwiedziliśmy już jednak dzisiaj Pałacu, ponieważ na zwiedzanie pozostało nam tylko 30 minut. Na teren Pałacu nie można wchodzić w krótkich spodenkach i „za krótkich” spódnicach (muszą być poniżej kolan). Podobnie z koszulami. Na szczęście na miejscu można wypożyczyć odpowiedni strój – ale trzeba zostawić w depozycie min. 100 THB, które potem się odzyskuje oddając strój.

Przez te wszystkie dzisiejsze przekręty w sumie straciliśmy cały dzień, który mieliśmy przeznaczony na zwiedzanie Bangkoku! O tej porze było już wszystko zamykane. Zdażyliśmy jeszcze tego dnia zobaczyć Wat Pho oraz Wat Arun (50 THB / 1 os.) o zachodzie

słońca, skąd wróciliśmy łodzią miejską (15 THB / 1 os.) na przystań koło Khao San Road. Zjedliśmy wypas kanapki z kurczakiem z ulicy (90 THB – spokojnie jedna kanapka starczy na 2 osoby) i poszliśmy dzisiaj wcześniej spać.

Dzień 20. (4. XII. 2008. Czwartek) Bangkok, Damnoen Saduak

Dzisiaj wstaliśmy kilkanaście minut przed 5:00. Na 5:30 byliśmy już na dworcu południowym, gdzie kupiliśmy bilety do Damnoen Saduak za 85 THB od osoby, na godzinę 6:00.

Do Damnoen Saduak dojechaliśmy po ok. 1,5 godziny. Wysadzono nas przy jakiejś zatoczce autobusowej, gdzie podbiegła do nas uśmiechnięta pani z przygotowaną trasą zwiedzania wodnego targu – za jedyne 600 THB od łodzi. My jednak chcieliśmy dojść tam na piechotę i zwiedzać targ z brzegu. Kiedy odchodziliśmy pani sama ze sobą się targowała i zesłała ostatecznie do 300 THB, ale i tak nie skorzystaliśmy z tej oferty. Po drodze na targ (ok. 1-1,5 km) mieliśmy jeszcze mnóstwo innych ofert wypożyczenia łodzi – najtańsza za 250 THB.

Po dotarciu na miejsce trochę się rozczarowaliśmy, bo jakoś mało było „sprzedających łódek”. Więcej było straganów na brzegu niż łódek. W zasadzie większość łódek jakie stały przy brzegu, czekały na wynajęcie. Z czasem jednak zaczęło się ich pojawiać coraz więcej ze sprzedającymi i zrobiło się fajnie i kolorowo. Dopiero teraz zaczęło nam się podobać i to bardzo. Z czasem zaczęło również przybywać turystów, głównie pływających na łódkach. Ludzie na łódkach sprzedają różne rzeczy. Niektóre mają na swych łodziach nawet małe kuchnie, na których przygotowują gorące posiłki, czy też wypiekają ciastka kokosowe. My skusiliśmy się na zakup owoców, ciasteczek kokosowych i innego jedzonka.



Koło 11:00 dotarliśmy na dworzec autobusowy, gdzie od razu zgarnięto nas do autobusu do Bangkoku (85 THB). W Bangkoku wysadzono nas nie wiadomo gdzie, ale na szczęście jeździł tam autobus nr 511, którym dojechaliśmy za 18 THB od osoby w okolice Khao San Road. Nie wracając już do naszego guesthouse'u poszliśmy zwiedzić Pałac Królewski (300 THB / 1 os.), a w nim Szmaragdowego Buddę. Cały kompleks wygląda bardzo ciekawie, chociaż jest gęsto upakowany.

Potem udaliśmy się na odpoczynek do naszego guesthouse'u. Następnie pochodziliśmy po straganach na Khao San, która jest w zasadzie cała bazarem. Wieczorem wypuściliśmy się też na bazar na China Town, ale było już późno, więc na darmo tam poszliśmy. Na koniec wstąpiliśmy na piwo do jednego z barów na Khao San (100 THB za piwo 640 ml.).

Dzień 21. (5. XII. 2008. Piątek) Bangkok, Bangkok – Phuket

Dzisiaj w końcu nie musieliśmy wstawać z budzikiem. Pomimo tego ja obudziłem się już o godzinie 7:00. Chyba mój organizm już się przyzwyczaił do ранnego wstawania :).

Po śniadaniu poszliśmy sprawdzić w internecie (1 THB za 1 min.) co z naszym powrotnym lotem. Miał być z Phuket w związku z blokadami lotnisk w Bangkoku, ale już od wtorku zakończyły się blokady i okazało się, że od dzisiejszego dnia wszystko zaczyna funkcjonować po staremu – czyli musimy wrócić z Phuket do Bangkoku, szkoda... .

Dzisiejszego dnia król Tajlandii obchodził swoje urodziny (chyba 50-te urodziny). Z tego względu część atrakcji turystycznych tego dnia była pozamykana. Na ulicach panował dużo mniejszy ruch niż w dniu powszednim. Po mieście roilo się też dużo policji.

My udaliśmy się do Wat Trai Mit, żeby zobaczyć 3 metrowego Buddę całego ze złota. Wybraliśmy się tam statkiem miejskim – 18 THB / 1 os., na który się trochę naczekaliśmy, bo dzisiaj rzadko co pływało po rzece Chao Praya (Pływały też statki turystyczne w podobnej cenie).

Samo Wat Trai Mit nie zrobiło na nas większego wrażenia, ale przy okazji udaliśmy się jeszcze na bazar w China Town, na który nie udało nam się wczoraj dotrzeć. Warto



wiedzieć, że miejscowi nazywają go „Sampej”. Jest rozległy i zatłoczony. Można tutaj kupić dużo rzeczy, ale jednak nie wszystko, np. naczyń z bambusa nie udało nam się znaleźć (żałowaliśmy, że nie kupiliśmy ich w Phnom Penh na bazarze rosyjskim – nigdzie więcej nie spotkaliśmy takich fajnych jak tam). Można tutaj też kupić podrabiane zegarki, muzykę, filmy, ubrania,

buty, torebki, itp.

Do naszego guesthouse'u wróciliśmy parę minut po 16:00 i odebraliśmy nasze plecaki z przechowalni (przechowali je nam za darmo). Potem taksówką (87 THB) udaliśmy się na dworzec południowy. Tutaj kupiliśmy jeszcze powrotne bilety z Phuket do Bangkoku (512 THB / 1os. 2 klasa) i obejrzelśmy krótkie przedstawienie akrobatyczne z okazji urodzin króla i poszliśmy na nasz autobus.

Wyruszyliśmy z 10 minutowym opóźnieniem (ok. 18:30). Autobus był całkiem wygodny. Dostaliśmy tylko kocyki, które oczywiście się przydały – pamiętajcie o klimatyzacji!

Podróż miała trwać 13 godzin, ale była krótsza o 1 godzinę, czyli o 6:00 byliśmy już w Phuket.

Dzień 22. (6. XII. 2008. Sobota) Phuket – Kho Phi Phi (Don)

Tego dnia w Phuket było pochmurno! Za wytargowane 20 THB (z 30 THB) dojechaliliśmy tuk-tukiem na molo Ratsada, skąd płyną jachty na Kho Phi Phi i z powrotem.

Cennik:

Phuket – Kho Phi Phi	dorośli	dzieci
w jedną stronę	600 THB	500 THB
w dwie strony (powrót dowolnego dnia)	1000 THB	800 THB

Godziny:

Phuket – Kho Phi Phi	Kho Phi Phi – Phuket
8:30	9:00
11:30	14:30
13:30	
14:30	

Po około godzinie i 40 minutach dopłynęliśmy do Kho Phi Phi Lay (na tej wyspie były kręcone sceny do filmu „The Beach”), którą to opłynęliśmy i popłynęliśmy dalej do obok leżącej Kho Phi Phi Don, skrótowno nazywanej Kho Phi Phi.

Na dworze było bardzo gorąco i parno, ale pochmurno. Przejrzystość powietrza pozostawiała wiele do życzenia, a słońce tylko chwilami próbowało się przebić przez chmury. Zaraz po wysiadce ze statku trafiliśmy do informacji turystycznej, gdzie znaleziono nam noclegi za 700 THB / 2 os. Musieliśmy z góry zapłacić za nie.

Po kilkunastu minutach przyszedł młody chłopak z wózkiem, na który wrzuciliśmy nasze plecaki i poszliśmy z nim do naszego guesthouse'u. Okazało się, że łazienkę mieliśmy w pokoju, a do plaży mieliśmy tylko 5 minut piechotką, a do głównej przystani ok. 10 minut.

Po prysznicu (tylko chłodna woda) i krótkim odpoczynku poszliśmy na plażę. Woda ciepłutka i orzeźwiająca. Widoki bardzo fajne, ale jednak przez pogodę nie powalające.

Po około 30 minutach zaczęło się jeszcze bardziej chmurzyć, aż w końcu zaczęło delikatnie padać! Eh, my to mamy „szczęście” do tych „rajskich wysp” (podobnie było z Sokotrą)...

Deszczu przeczekaaliśmy w naszym pokoju przy telewizorze, a potem pospacerowaliśmy po okolicy, wstępując na obiadokolację (90 THB / ryż, kurczak w sosie curry z warzywami) oraz shake'a (30 – 50 THB, cena w zależności od rodzaju owocu).

Przykładowe ceny:

piwo LEO 0,6 l. w markecie (seven eleven)	58 THB
woda 1,5 l. w markecie (seven eleven)	23 THB

Dzień 23. (7. XII. 2008. Niedziela) Kho Phi Phi (Don)

Dzisiejszy ranek wyczekiwaliśmy z wielką nadzieją, że nie będzie żadnych chmur na niebie. Niestety, nie było tak pięknie. Było co prawda trochę słońca, ale i dużo chmur.

Około 9:00 wyszliśmy wdrapać się na punkt widokowy Kho Phi Phi, skąd roztacza się piękny widok na wyspę. Posiedzieliśmy tutaj z godzinkę ciesząc oczy widokami.

Po zejściu z góry wykupiliśmy na dzisiejsze popołudnie (14:30 – 19:00) wycieczkę (550 THB / 1 os.) na wyspę Kho Phi Phi Lay, snorkeling, plażę małą i oglądanie zachodu słońca na Maya Beach (tytułowa plaża z filmu „The Beach” z L. Di Caprio). Następnie udaliśmy się na plażę. Zrobiło się jednak jeszcze bardziej pochmurnie niż rano. Po jakiejś godzinie nadciągnęły sine chmury i rozpadało się na dobre!



Uciekliśmy z plaży razem z innymi i poszliśmy do naszego guesthouse'u przeczekać to wszystko. Po 40 minutach stawiliśmy się na naszą wycieczkę, chociaż w taką pogodę nie widzieliśmy sensu gdziekolwiek jechać. Okazało się jednak, że wycieczki nie będzie dzisiaj ze względu na pogodę. Proponowano nam jutro, ale nam już to nie pasowało, więc zwrócili nam pieniądze.

Poszliśmy na obiad. Deszcz rozpadał się na nowo. Czekaliśmy długo w restauracji, aż przestanie padać, ale się nie doczekaliśmy, więc wróciliśmy w deszczu do naszego pokoju, gdzie się trochę zdrzemnęliśmy. Deszcz padał do wieczora.

Po drzemce zdecydowaliśmy się zapisać na nurkowanie z akwalungiem. Nigdy jeszcze przedtem tego nie robiliśmy, więc podekscytowanie było wielkie. Zostało nam jeszcze trochę pieniędzy, więc nie wiedząc kiedy może trafić się nam kolejna okazja zdecydowaliśmy się to zrobić. Wybraliśmy firmę „Aquanauts” (3400 THB od osoby, 2 nurkowania, można było dodatkowo wziąć fotografa za 30 \$).

Potem jeszcze pospacerowaliśmy po miasteczku i plaży i koło północy poszliśmy spać.

Dzień 24. (8. XII. 2008. Poniedziałek) Kho Phi Phi (Don) - Bangkok

Tego dnia musieliśmy wcześniej wstać, bo na 7:30 mieliśmy się stawić na nurkowanie. Po szybkim śniadaniu (bułka – 20 THB z jogurtem – 13 THB) i pakowaniu się stawiliśmy się przed „Aquanauts”. Byliśmy chyba pierwsi spośród tych, którzy mieli z nami nurkować.



Zostawiliśmy tutaj na przechowanie nasze plecaki (za darmo). Ja z Ewą mieliśmy jednego instruktora dla siebie. Na początek wyjaśnił nam kilka podstaw na temat ciśnienia w wodzie i samego nurkowania. Proste rzeczy.

Potem poszliśmy na statek, który nas zabrał na miejsce, w którym mieliśmy nurkować. Poubieraliśmy się w stroje pływackie. Nasz instruktor sprawdził nasz sprzęt. Działał jak należy, więc kolejnym etapem było wskakiwanie do wody. Następnie na powierzchni wody przećwiczyliśmy 3 podstawowe czynności – wyjmowanie i wkładanie do ust regulatora (regulator to ta część, którą wkłada się do ust i przez nią oddycha); odrzucenie regulatora z ust, znalezienie go i włożenie do ust; oraz pozbywanie się wody z maski. Potem te same ćwiczenia wykonaliśmy kilka centymetrów pod wodą. Ewa trochę się bała i dodatkowo napiła się wody, przez co zaczęła się źle czuć. Przerwaliśmy zatem ćwiczenia i poczekaliśmy na naszą łódź, która zabrała Ewę, a ja z instruktorem zaczęliśmy nurkować. Instruktor o wszystko dbał, więc nie musiałem nic wiedzieć i o nic się martwić. Było niesamowicie! Dużo różnokolorowych, małych i dużych rybek, rafa oraz inne dziwaczne stworzenia.

Zeszliśmy na głębokość 11,5 metra. Po około 30 minutach wróciliśmy na łódź. Ewa nadal się źle czuła. Kilka razy już wymiotowała, a kołysanie łodzi pogarszało jej samopoczucie. Następnie popłynęliśmy na Maya Beach. Tam się zatrzymaliśmy (ale nie schodziliśmy na brzeg), żeby zjeść lunch. Część osób skakała do wody z łodzi, a inna część wraz z Ewą, ze względu na złe samopoczucie, odpłynęła wynajętą łódką (500 THB / 1 os.) na Kho Phi Phi Don.

Po krótkiej przerwie popłynęliśmy kawałek dalej (obok Kho Phi Phi Lay) i znowu zaczęliśmy nurkować. Znowu było świetnie! Dodatkowo widzieliśmy jednego żółwia oraz sporo rekinów (odmiana niegroźna, chociaż wyglądająca tak, jak ta groźna:)) oraz kilka nowych stworzonek i rybek. Tym razem jednak miałem wrażenie, że było krócej niż za pierwszym razem. Może dlatego, że mój instruktor poczuł silną potrzebę fizjologiczną – po wejściu na łódź pognał jak błyskawica do kibelka.

Po tym wszystkim wróciliśmy na ląd, tj. ok. 13:15. Za nurkowanie dostałem nawet dyplom, dzięki któremu podobno mogę mieć zniżki na kursy nurkowania w przeciągu roku.

Jeśli chodzi o firmę „Aquanauts”, to pomimo dużej ceny, to wszystko było jak najbardziej ok. Jedyne zawiedliśmy się trochę na jedzeniu, które było wliczone w cenę. Miały być owoce, „odświezacze” w postaci wody, herbaty itp. oraz lunch. Wszystko było, ale owoców mało – głównie banany i trochę ananasa. Lunch co prawda był, ale w postaci ryżu w styropianowym opakowaniu i sosu z kawałkami mięsa i warzyw, zapakowanego w plastikowy woreczek. Za taką cenę oczekiwaliśmy czegoś więcej.



Decydując się na nurkowanie warto między innymi wiedzieć, że po takim nurkowaniu, jakie ja odbyłem, nie powinno się latać samolotem przez minimum 18 godzin.

Po powrocie na ląd zabraliśmy nasze plecaki z firmy i wsiedliśmy na jacht do Phuket. Na statku w cenę biletów mieliśmy wliczoną wodę, kawę, herbatę oraz pepsi, ale o pepsi mało kto chyba wiedział, bo nie była nawet wystawiona do brania, trzeba było o nią poprosić.

Nalewali ją nam do kubeczków, ale jakoś oszczędnie :). Inni z kolei, nie wiedząc zapewne o tym, kupowali pepsi w sklepiku.

Po około 2 godzinach dotarliśmy do portu Ratsada w Phuket. Następnie zbiorową taksówką (15 THB / 1 os.) dojechaliśmy na dworzec autobusowy. Tam zjedliśmy w pobliskiej restauracji, trochę poszwędaliśmy się wokół dworca (ale nic ciekawego tam nie było) i czas szybko minął. W międzyczasie poznaliśmy sympatyczną parę Polaków – Anię i Grześka, którzy przyjechali do Tajlandii na 2 tygodnie. Okazało się, że w tym samym dniu co my wyjechali z Bangkoku na Kho Phi Phi oraz byli na wyspie i teraz wracają tym samym autobusem co my, ale nie do Bangkoku – wysiedli wcześniej.

O 19:00 odjechaliśmy do Bangkoku. Dzisiejszej nocy jakoś ciężko nam się jechało. Było nam niewygodnie spać i często się budziliśmy. Około 7:30 dojechaliśmy do południowego dworca autobusowego w Bangkoku.

Dzień 25. (9. XII. 2008. Wtorek) *Bangkok, Bangkok - Warszawa*

Z dworca południowego na Khao San chcieliśmy tym razem dojechać autobusem miejskim nr 511, ale nie udało nam się znaleźć przystanku, na którym ten autobus się zatrzymuje, więc kolejny raz wzięliśmy taksówkę.

Na Khao San poszliśmy do Budget Guesthouse, gdzie za 300 THB wzięliśmy pokój (2 osoby). Chwilę odpoczęliśmy, odświeżyliśmy się i ruszyliśmy na miasto, aby doświadczyć jeszcze masażu tajskiego.

Poszliśmy do Wat Pho Thai Massage School. Wykupiliśmy półgodzinny masaż (220 THB, godzinny – 360 THB). Bardzo ciekawe doznania. Masaż jest trochę bólowy, ale w sumie całkiem relaksujący.

Następnie pospacerowaliśmy po Khao San i pobliskich uliczkach w celu dokonania ostatnich zakupów prezentowo-pamiątkowych. Na koniec odważyłem się spróbować pieczoną szarańczę i dużego karalucha. Przy ich zakupie są spryskiwane mleczkiem sojowym i posypywane jakąś przyprawą. Powiem tylko tyle, że jeśli chodzi o smak, to jak najbardziej zjadliwe. To raczej psychicznie człowiekowi trudno się przemóc, żeby wziąć to do ust. Trzy tygodnie wcześniej miałem już okazję spróbować tych owadów, ale nie przełamałem się. Tym razem było dużo łatwiej, no i kto wie, może to była moja ostatnia szansa? ...

Po prysznicu pojechaliśmy autobusem AE2 (150 THB / 1 os.) na lotnisko Suvarnabhumi. Przystanek AE2 znajduje się bardzo blisko Khao San. W razie czego można wziąć z informacji turystycznej mapkę, na której ten przystanek jest zaznaczony. Na lotnisku wszystko przebiegło sprawnie i bez problemów.

W Helsinkach zastaliśmy prawdziwą, śnieżną zimą. Zupełny kontrast z Tajlandią - jeszcze wczorajszego wieczoru pociliśmy się w upałach:). Tutaj mieliśmy 3 godzinną przerwę podczas przesiadki (z czego o godzinę opóźnił się nasz wylot do Warszawy). W Warszawie wylądowaliśmy koło 10:00, ale śniegu tutaj nie zastaliśmy, a na dworze tego dnia było całkiem ciepło i słonecznie, chociaż nie tak jak w Azji :).

